Archiwum Wschodnie 236

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Gustaw Rapacki. Urodziłem się 23 października 1903r. w miejscowości Wieczynia, powiat Mława. Jestem synem Piotra i Eleonory. Ojciec mój był rolnikiem na gospodarstwie, które miało około 80 ha ziemi.

Pamiętam, przed pierwszą wojną ciągle były jakieś zatarczki. Często przyjeżdzali do nas żandarmi. Kiedyś przyjechali i była na stole książka - historia Polski. Straszny był rozgardiasz gdzie to schować, bo mogą ~~to~~ znaleźć i będą kłopoty. Mój najstarszy brat, to był taki przeciwnik Rosji Carskiej, że po nocach śnił, że bije "kacapów" i ciągle miał z nimi wojny.

Ojciec mój wyjechał do Ameryki. Nie mógł zostać na tym majątku. Została tutaj jego siostra. Pierwszy raz ojciec wrócił chyba w 1906 roku. Znowu musiał wyjechać do Ameryki, wziął ze sobą mojego starszego brata, a ja z mamą i ze drugim starszym bratem zostaliśmy tutaj. Jak wybuchła I wojna światowa mama umarła, więc zostałem tylko z bratem. Mnie wzięła jedna ciotka, jego ~~jakaś inna~~ druga. Mój brat pomagał im w prowadzeniu gospodarstwa, bo wujek był trochę ułomny, a mieli chyba ponad 30 ha ziemi. Bardzo tragicznie zginął mój brat - (był to chyba 1918 r.) po prostu kiedyś nie dojechał z ~~pola~~ łąki do domu i zamarzł.

Ja mieszkałem w Nasarzewie Polnym to jest koło Mławy. Tam właśnie była ziemia ojcowska. Wtedy zacząłem ~~trochę~~ się zastanawiać co będę robić w przyszłości. Zaopiekował się mną ~~ten~~ konspirator student. Posyłał mnie z różnymi rozkazami to do Przasnysza, do Mławy, do Gródka. On i jego żona przygotowywali mnie, ~~żebym się uczył~~ do dalszej nauki. W 1918 roku poszedłem do szkoły - do Państwowego Seminarium Nauczycielskiego. Bardzo mi się przydało to ~~co oni mnie przygotowali~~ wiedza w dalszej nauce. Po skończeniu tego seminarium, coś mnie pędziło w świat. Pojechałem do Wilna. Nie mogłem tam niestety dostać żadnej posady. W końcu dostałem posadę w Landwarowie. Tam zacząłem pracę jako nauczyciel w siedmioklasowej szkole. Założyłem tam drużynę

harcerską - Poznaniu ~~wes z księdzem~~ biskupem Bandurskim, ~~go~~ był to wielki patriota, Biskup Polowy Józefa Piłsudskiego. Bardzo miłe mam wspomnienia z tego okresu. Tam dobrze mi się ułożyło. Władze uznały moją pracę ~~za jeden~~ wybitną, dostałem stypendium. Potem jak ~~s~~kończyłem studia przyjechałem do Szczuczyna do Seminarium Nauczycielskiego. Tutaj zastała mnie ~~druga~~ II wojna światowa. W połowie sierpnia zostałem powołany do wojska., do Grodna, z Grodna do Wilna. Tutaj doczekaliśmy się 17 września, gdy wojska radzieckie przekroczyły granicę Polski. Przeżywaliśmy straszną tragedię. ~~Nasz~~ Przedewszystkim wywozili oni gajowych, osadników, dzieci, na Syberię. Był taki ~~jeden~~ wypadek z jednym moim znajomym agronomem w Szczuczynie. Jak oni Sowiet przyszli to mówili, żeby pracować. Więc tak jak normalnie wyjechał on na powiat, żeby pełnić normalnie swoje funkcje. Jak wrócił, to nie było w domu ani żony ani dzieci. ~~Tak~~ pomyślał, że lepiej będzie jak on razem z nimi pojedzie. Była tam ~~taka~~ stacja Różanka. Poszedł na tę stację i zameldował się sowietom, powiedział, że jest tu jego żona i dzieci i on chce z nimi jechać. Oczywiście zabrali go, ale od razu gdzie indziej go wsadzili i już nigdy więcej swojej żony ani dzieci nie widział. Poza tym Rosjanie niszczyli biblioteki polskie. Najpiękniejsza literatura - to było wszystko co najgorsze - burżuazyjne wymysły. Oni wszystko wywalali i niszczyli. Nieraz się słyszy, że Niemcy niszczyli a przecież Rosjanie w ochydny sposób całe biblioteki palili. Wywozili też przecież całe rodziny - nawet z małymi dziećmi.

My byliśmy właściwie zawsze przygotowani na ich przyjście. /ja już wtedy wróciłem z Litwy/ Mieliśmy taki spis rzeczy, które trzeba wziąć. Nigdy nie wiadomo było kiedy mogą przyjść. My ~~się~~ dowiadywaliśmy w ten sposób, że jak stały na stacji tzw. "tepluszki" to wiadomo było, że mogą wywozić. Najlepiej było wtedy po prostu uciekać, bo oni jak przyszli, to tylko pytali czy tacy a tacy są a jak się mówiło, że nie ma, to często pisali sobie, że nie ma i

odchodzili. Można było na drugi dzień przyjść i normalnie mieszkać. Ale trzeba było czuwać, bo jak zastali kogoś, to zabierali i koniec. Wracając do moich przeżyć z wybuchu II wojny światowej, to tak jak wspominałem poprzednio, zostałem zmobilizowany w połowie sierpnia 39 i przydzielony do oddziału specjalnego V nowoorganizującej się armii. Otrzymaliśmy wraz z kilkoma kolegami zadanie czuwania nad korespondencją pocztową w Okręgu Wileńskim. Tę pracę wykonywaliśmy do 17 września 39 - jednocześnie oczekiwaliśmy na dołączenie do naszej jednostki bojowej w V armii. Gdy Sowieci wkroczyli do Polski 17 września i zbliżali się do Wilna, postanowiliśmy z kolegami uciec przed nimi. Było to dla nas straszną tragedią. Odcinek ok. 18 km przeszliśmy pieszo nocą wraz z ewakuującymi się oddziałami naszych wojsk polskiej armii.

O świcie dotarliśmy na granicę polsko-litewską. Rozgrywały się tu dramaty ludzkie - byli tacy, którzy popełniali samobójstwa, szczególnie oficerowie zawodowi, byli tacy, co wniwecz rozpaczy czekali, nie decydowali się przejść granicy - uważali to za hańbę - stali i czekali. Inni niszczyli broń, aby nie oddać jej Niemcom i Rosjanom. Ja z kolegami, po zniszczeniu naszej broni, przekroczyłem granicę o wschodzie słońca 18 września w łunie pożarów od podpalonego polskiego sprzętu wojskowego - czołgi sowieckie i lufy ich dział mieliśmy w zasięgu wzroku.

Litwini przewieźli nas do obozu internowania w Kalandze nad morzem i zakwaterowali w domkach letniskowych. W tym obozie byli nasi żołnierze i policja, która uważała się za najbardziej zagrożoną. Przewidzieli polscy policjanci, jakie losy czekały ich po dostaniu się do niewoli sowieckiej.

W zasadzie w obozie tym byli sami Polacy. Był tam taki chłopak, który jak pytali, jakiej on jest narodowości, to on mówił, że jego matka to Żydówka, ojciec Turek, więc on jest Polak. Sporo było też ludzi z województwa poznańskiego, właśnie byli to Niemcy. Oni nawet żałowali, że zgłosili się do wojska polskiego, bo nie przypuszczali, że Niemcy tak szybko wkroczą i zajmą Polskę.

Nic nie robiliśmy w tym obozie, np. ja jako inteligent nie poszedłem do pracy, ale taki np. stolarz, murarz to poszedł do pracy, zarobił 5 litów /tam ~~były litty~~ były takie ~~tam były~~ pieniądze / więc mógł sobie dokupić chleba, mięsa, bo na Litwie wszystko było bardzo tanie i bardzo dobre. A nam było trochę gorzej, bo ja np. nie mogłem wziąć się do żadnej fizycznej pracy. Oni dużo lepiej żyli, nawet nas trochę dożywiali. Warunki w tym obozie nie były jakieś straszne, ale my byliśmy psychicznie rozbici, roztrzęsieni, wykończeni nerwowo. Nie mogliśmy tego pojąć jak to się stało, przecież byliśmy tacy pewni, tacy przekonani, że nie damy się tak łatwo stłamsić Niemcom. Ciężko było się z tym pogodzić.

Kontakty między ludźmi były w obozie dobre. Organizowaliśmy np. uroczystości z okazji ~~§§~~ 11 listopada, chodziliśmy do Kościoła. Byliśmy tam dosyć swobodni, chodziliśmy po plaży. Potem nam tego zabronili. Potem pamiętam piękne kazania ~~tam~~ księdza ~~wygłaszał~~ wygłaszane przez z Westerplatte, ale jak się ten ksiądz nazywał tego nie pamiętam. W tym kościele tak smutno nam było, śpiewaliśmy "Boże coś Polskę", każdy trzymał się tak siłą, jak mógł najbardziej, ale nie wytrzymali, ryczało to wszystko tak jak bóbry (Miejscowy Ksiądz co prawda nie pozwalał, żebyśmy śpiewali tę pieśń, wybiegał na kościół i dzwonił dzwonkiem, żeby nie śpiewać, ale my mieliśmy swojego organistę, który nam to grał. Co niedziela były takie chwile.

Wieczorami ~~były takie chwile, że~~ człowiekowi było smutno. Czasem tak człowiek myślał: dlaczego ja tu jestem, dlaczego nie mogę się stąd wyrwać, przecież tam są Polacy, dlaczego ja nie mogę oddać wszystkiego- nawet życia , za swoją Ojczyznę, "dlaczego muszę siedzieć w Palandze / tak się nazywała miejscowość, w której był ten obóz./.

Jak wkroczyli Rosjanie / na Litwę /, to ~~mobilizowali~~ wszystkich oficerów polskich z tego obozu wywieźli - mam wrażenie, że oni

wywieźli ich właśnie dom Katynia. Rosjanie z Litwinami nie walczyli.Rosjanie po prostu zajęli te tereny, od razu przeprowadzili wybory, powiedzieli, że niby Litwini poprosili, że chcą być republiką rosyjską. Cały rząd litewski uciekł.Prezydent Smetona, premier - Waldemaras, ~~też uciekł~~, także i cały teren został bez władz. Dokładnie nie wiem jak to dalej wyglądało, bo ja cichaczem stamtąd uciekłem do Landwarowa pod Wilnem, a stąd do Szczuczyna . Po powrocie zastałem na tych terenach sowietów .Zniszczyli biblioteki - całe zbiory. Trzeba było studiować WKPB - to była historia ZSRR i to każdy musiał znać. Nikt się wtedy nie porywał do pracy umysłowej, tylko szedł do pracy fizycznej. Ja też pracowałem fizycznie. Jako byłym nauczycielem bardzo zajmowali się mną ludzie. Pamiętam gospodarze dali mi krowę, inny znowu posadził u siebie kurę na jajach, żeby ona kurczaki wysiedziała, potem je podchował i mi je przywiózł.U nas tam nie paliło się węglem, tylko drzewem. Kiedyś wieśniacy pojechali do lasu, drzewa narąbali, przywieźli mi do domu, porąbali, ułożyli,. Czasem ktoś przywiózł kaszę, albo coś innego. I tak żeśmy sobie żyli.

Pamiętam jak Rosjanie tworzyli kołchozy.Spędzali ludzi, mówili, że tu ma być kołchoz - i koniec. Wyznaczali jeszcze "predsedatelia", przeważnie jakiegoś Żyda a on był taki specjalista, że to wszystko się waliło. Kiedyś mówi : "będziemy siać ~~pszenicę~~ stelwachu ",a to są przecież orczyki, a on myślał, że to jest zboże takie jak owies czy jęczmień. On nie miał pojęcia o gospodarce i on był przewodniczącym kołchozu.Więc jak ich Niemcy wypędzili, to wszystko momentalnie się rozproszyło, wszyscy szybko wrócili na swoją ziemię. Dlatego oni byli wdzięczni Niemcom,,że dzięki nim udało im się odzyskać swoje gospodarstwa.

Na tym terenie mieszkali ~~właściwie przede wszystkim~~ takie Białorusini. Że tym, że oni nie podkreślali, że są Białorusinami, raczej mówili,

że są tutejsi. Oni byli poprostu silnie związani z tą ziemią. Tam było dużo prawosławia. Pamiętam jak się kiedyś zapytałem takiej dziewczynki czy ona jest Polka, to ona mówiła, że nie, bo jest przecież prawosławna. Bardzo się dziwiła, jak ją przekonywałem, że może być Polka, że wyznanie nie określa narodowości. Oni mieli silną więź przez religię, ale ponieważ w Rosji tej religii nie było, bardzo silnie się z nią rozprawiali, zabronili religii, to nie mieli Białorusini przekonania do soweitów. Tam nie było też konfliktów wyznaniowych. Z tym, że nie czuli się katolikami, więc wydawało im się, że nie mogą być Polakami. Im trzeba było przekonywać, że to jedno drugiemu nie szkodzi. Ja tam właśnie chętnie pracowałem, bo uważałem, że pełnię dużą rolę dla Polski, polskości. A do partii nigdy nie należałem. Ja byłem po prostu Piłsudczykiem, a Piłsudski to był dla mnie nie polityk, ale wspaniały człowiek, obywatel, wzór człowieka. I po prostu pełniłem rolę Polaka.

Dopóki Niemcy nie przyszli to Rosjanie wywozili ludzi, ze Szczuczyna także. Wywozili mniej więcej średnio co dwa tygodnie i to całe rodziny. Pamiętam np. Radomskich, Budrewicz, Tumalewicz - to byli moi uczniowie - ich wywieźli, był też taki nauczyciel Chyliński - też go wywieźli. Po prostu przychodzili do domu i zabierali. Dlatego my byliśmy zawsze gotowi do natychmiastowego zebrania się, o czym już wspominałem. Ja dość często nocowałem po stodołach, u znajomych. Po mnie nie przyszli - tak mi się udało. Ale starałem się nie rzucać im w oczy, chodziłem po lesie, brodę sobie zapuściłem.

Ale nie wiem dokąd ich wywozili.

Jak przyszli Niemcy to trzeba było coś zrobić. Myśmy tam zakładali biuro informacji i propagandy. Ja byłem przewodniczącym takiego biura na terenie Szczuczyna, był tam też Chyliński - mój kolega, syn adwokata Szemiot, jeden z moich uczniów, którego nazwiska nie pamiętam. Jak zaczęły działać oddziały partyzanckie w Polsce. Pierwszy przyszedł z oddziałem mój uczeń - Skorp / on był w wojsku i zaczął chodzić w lesie, był rotmistrzem/.

Potem był mój uczeń - Borysewicz, Krysiak, który dowódcą batalionu
AK.
~~też chyba coś~~ ~~salężył~~. Zaczęły się akcje przeciw Niemcom ~~Wszystko było~~ Potem była
akcja
~~napad~~ na Szczuczyn, zginęła masa ludzi, Niemcy wybili całą kompanię chłopaków. Ja wtedy rzuciłem wszystko i poszedłem do lasu, ja na jedną melinę, żona na inną." W ten sposób trafiłem do VII batalionu 77 pułku , do "Ponurego" - jako oficer oświatowy. Otrzymałem pseudonim " MOtyka". Dostałem takich chłopaków - studenciaków z którymi ~~i nocami~~ siedzieliśmy, na melinie - wydawaliśmy pismo sprawy Polskie - ~~radio~~, rozsyłaliśmy do batalionów . ~~Wydaxz~~ Poza tym moi chłopcy mieli nasłuchy, wysłuchiwali wiadomości, potem zbierali te wiadomości, potem siadaliśmy razem i robiliśmy takie przekroje, wybór najważniejszych rzeczy z tego co się działo w ostatnim tygodniu. Wydawaliśmy tych numerów naszych wiadomości około 150 sztuk. To wszystko szło do batalionów. Ja zajmowałem się ~~tym~~ kolportażem, bo nie chciałem już tak narażać chłopaków. Chłopcy od "Ponurego" bardzo chętnie to czytali, a my staraliśmy się, żeby przynajmniej na każdą drużynę był jeden egzemplarz. Tym bardziej, że oni przecież szli potem w teren to i ludzie we wsiach, miejscowościach to czytali. Staraliśmy się rozsyłać te pisemka na teren Szczuczyna, Wasiliszek, żeby jakoś podtrzymywać ludzi na duchu, że przecież to jeszcze nie koniec, że wojna jeszcze nie skończona, jeszcze coś nas czeka.

Pamiętam jeden z ostatnich moich wyjazdów do "Ponurego". Było to wtedy, gdy następowała inwazja aliantów na Europę. Za Cały batalion zatrzymał się w majątku - Lebiodka. Ponury poprosił mnie i powiedział, że za dwie godziny zarządza zbiórkę całego batalionu a ja mam wygłosić do żołnierzy przemówienie - miałem tylko dwie godziny na przygotowanie się do tego. W tym czasie Ponury pojechał ~~gdzieś~~ posłuchać radio. Poszedłem do stodoły i zastanawiałem się co mogę powiedzieć tym żołnierzom. Powoli słyszę jak idzie jedna, druga, trzecia kompania. Zeszły się te wszystkie kompanie, stanęły w czworoboku

Wyszedłem ze stodoły, stanąłem przy pierwszej kompanii, „Ponury" już też jechał na swojej kasztance. To moje przemówienie to było jedno z większych przeżyć u „Ponurego". Powiedziałem wtedy, że jeden wróg - tzn.Niemcy już leżą, bliski jest już ich koniec, świadczy o tym ofensywa na zachodzie, ale nam pozostał jeszcze drugi wróg - na wschodzie. Mówiłem, że ze wschodu idą na nas chmury i nam trzeba będzie te chmury rozproszyć, rozpędzić.- to jest nasza rola. Mówiłem - pamiętajcie, że w tej armii, która przeszła Kanał la Manche są i przeszła do Francji , tam są wasi synowie, bracia znajomi, oni stamtej strony biją wrogów, a my będziemy z tej strony walczyć, musimy się nie dawać.Zakończyłem to moje przemówienie słowami mówiąc, że nie damy ani Wilna, ani Nowogródka, ani Lwowa - tak nam dpomóż Bóg. „Ponury" był bardzo zadowolony z tego przemówienia. W tym batalionie był mój syn - 16 letni i do niego żołnierze podobno mówili: "ale ten twój ojciec umie przemawiać",.

Niedługo potem - 16 czerwca „Ponury" zginął. Ostatni numer, który wydaliśmy naszego pisma "Sprawy Polskie " to ~~był prawie~~ w całości poświęcony śmierci i pamięci „Ponurego" - jako na prawdę wspaniałego człowieka.Pamiętam jak dostałem wiadomość o śmierci „Ponurego," to czułem jakby mi kto nóż w serce włożył.Pojechaliśmy na to miejsce gdzie on był, widziałem jak leżał - palce prawie wbite w tę ziemię. A jak do tego wszystkiego doszło. Najpierw w Jewłaszach batalion otoczył bunkry Niemieckie, potem przesłał im ultimatum, że albo się poddadzą, albo ich wykończą. Wtedy Niemcy wywiesili flagę, że się poddają. I kiedy czwarta kompania /a była to najmniej doświadczona grupa naszych żołnierzy / podeszła do tych bunkrów, Niemcy mimo wywieszenia flagi, że się poddają, otworzyli na naszych chłopców ogień z karabinów maszynowych. Chłopaki przylgnęli do ziemi i nie poderwali się dalej - do walki. Wtedy „Ponury" zerwał się i krzyknął: "za mną chłopcy". Oni wtedy ruszyli, poderwał ich do walki, ale ~~jego przeszyły kule z karabinu~~

jego przeszyły kule z karabinu maszynowego - dostał serię po brzuchu. Jak chłopcy to zobaczyli, to z tych Niemców nic tam nie zostało, nawet śladu, tak ich zmaltretowali. Za to, że zabili ich dowódcę prawie zdeptali Niemców w ziemię. No cóż, ale „Ponurego" już nie było.

Zaczął się zbliżać front rosyjski. - do naszych granic. My wtedy myśleliśmy, że będziemy razem z nimi tworzyć jednak jeden front przeciwko Niemcom. Był nawet taki nakaz z Komendy Głównej Armii Krajowej i z Rządu Londyńskiego, że my nie mamy bić się z Rosjanami, tylko tworzyć z nimi wspólny front. Kiedy Rosjanie zaczęli podchodzić do naszych granic, to my zrobiliśmy zgrupowanie naszych sił - wszystkich batalionów nowogródzczyzny-Puszczy i wileńszczyzny - pod Wilnem. Rosjanie nam obiecywali sporo. Pułkownika Wilka mianowali generałem, mówili, że dadzą nam naboje, wszystko, tylko żebyśmy szli z nimi. A potem pewnego dnia zwołali odprawę wszystkich komendantów batalionów i wtedy gen. Wilka i wszystkich dowódców zamknęli - zaaresztowali. Nasz dowódca batalionu - „Ostoja" jakoś się wymknął i przyjechał do nas. Przyjechał, opowiedział wszystko i zaczęliśmy się zastanawiać co trzeba zrobić. Wtedy ~~Jeszcze~~ ~~taki~~ sowiecki oficer kazał nam się zameldować w dowództwie sowieckim, bo inaczej to nas karzące samoloty roztrzaskają, że nikt z nas żywy nie wyjdzie. Wtedy postanowiono rozwiązać cały batalion i niech każdy idzie gdzie chce. Rozeszli się grupkami w różne strony, niektórzy z nich są teraz w Kanadzie. Ja wziąłem swój wóz z ~~tymi~~ radiami i maszynami do pisania i przyjechałem na moją melinę. Tutaj była moja żona. Upakowaliśmy te wszystkie rzeczy, zamaskowaliśmy mój cały sprzęt, wsiedliśmy na wóz i jechaliśmy do Szczuczyna. Wydawało nam się, że wojna już jest blisko końca, to trzeba będzie nam te maszyny ulokować w dobrych miejscach i będziemy wydawać w dalszym

ciągu "Sprawy Polskiej". Jedziemy tak traktem i nagle z 50 a może nawet 100 sowieckich "bojcow" zatrzymało nas. Ja wtedy byłem / to był 1944 rok - chyba sierpień/ jeszcze młody - ściągnęli mnie z tego wozu , a żonie kazali dalej jechać. Mnie zabrali do takiego obozowiska, gdzie mieli już nałapanych chyba z 50 takich chłopaków i mieli nas wcielać do Armii Berlinga. A myśmy wtedy nie chcieli, bo wydawało nam się, że on tak za bardzo z tymi sowietami trzyma, i nie podobało nam się to. Oni chodzili wtedy po polach, łapali ludzi jak ci kosili zboże. Pamiętam pokazywali nam takiego jednego chłopaka, który był przebrany za dziewczynę, żeby go nie złapali. Oni jakoś dowiedzieli się, że to nie dziewczyna, tylko chłopak, jeszcze mówili, że on taki "pochorzi" - podobny do dziewczyny.

Zaprowadzili nas wtedy wszystkich do miasta gminnego- do Wasiliszek. Zamknęli nas w stodole i trzymali nas w niej chyba ze trzy dni i codziennie doprowadzali jeszcze kilku. Jak mieli nas ze 150 chłopaków, to zaczęli nas prowadzić do Lidy - był to już większy ośrodek, miasto powiatowe, w którym już przed wojną było około 30 000 mieszkańców. Podprowadzili nas pod Lidę, ale wtedy prowadzili za nas już "bojcy" z karabinami, z psami - mieliśmy więc już obstawę. Podprowadzili nas tam w okolice Lidy. Zatrzymali nas. Na tym miejscu postoju były kamienie ułożone w takie pryzmy, kazali nam usiąść na tych kamieniach i odpocząć., bo już tu zaraz będzie stacja kolejowa, z której Będą nas wieźli, ale nie wiedzieliśmy dokąd Będziemy jechać.

Pamiętam, że w Wasiliszkach to mi trochę poprzynosili słoniny jakiś innych rzeczy do jedzenia, bo mnie tam przecież znali. Więc siedliśmy z tym dozorcą z naszego seminarium - Pietuch i tak sobie gadaliśmy, że będziemy razem jedli to co mam, będziemy to tak trochę na zmianę nieść. Nagle patrzę a od strony Lidy idzie jeden z moich uczniów - wtedy już też nauczyciel . Podszedł do mnie

do mnie i pyta co ja tu robię. On wtedy po cichu mi powiedział, że będziemy się starali stopniowo odejść od tej grupy, że trzeba spróbować, bo sowieci są zajęci psami to może nie zauważą. Oddałem Pietuchowi plecak i powiedziałem, że jak nie wrócę to może sobie sam zjeść te rzeczy, a jak wrócę to będziemy się dzielić tak jak sobie ustalaliśmy. I ja z tym moim uczniem odeszliśmy tak parę kroków, potem znowu parę kkków kroków i znaleźliśmy się poza obrębem "bojcow". W końcu pa zaprowadził mnie do swojego brata, który miał gdzieś tam niedaleko gospodarstwo. Co prawda nasze oddziały były rozbite, ale jeszcze chodził tam oddział „Ragnera," który miał jeszcze 30- 40 osób. Ja dołączyłem do tego oddziału. Bałem się przecież sam iść, bo mogli znowu mnie złapać. Szliśmy więc razem w kierunku Szczuczyna. Z nimi doszedłem prawie pod sam Szczuczyn. Tam miałem znajomego gospodarza, który nazywał się Szkoda. Poszedłem więc do niego.A wszędzie dookoła już byli rozłożeni Rosjanie. Gospodarstwo tego człowieka było pod laskiem, oddzielone. Ulokował mnie w chlewie, siano już było zwiezione, na dole ~~jakieś~~ krowy. I powiedział, że w dzień będę sbie sobie spał a w nocy on bę dzie do mnie przychodził, będzie mi przynosić jedzenie i jakoś to będzie, będą mógł sbbie pochodzić po lesie, pooddychać świeżym powietrzem. Raptem któregoś dnia , a nigdy w dzień nie przychodził, idzie i woła z daleka: "panie Łapacki niech pan wyjdzie , gościa pan ma".Przeraziłem się trochę coto za gość, ale tak po malutku wychyliłem się. Patrzę a to mój syn przyszedł.Okazało się, że jak nas rpzgoniono samolotami, to on poszedł do miejscowości - Miednik.Jego zabrali i razem z innymi młodymi ludźmi wywieźli do Kaługi ~~Moskwy~~.Ale w końcu ~~jakoś~~, że był małoletni, bo miał dopiero 16 lat odesłali. Wszystkim takim młodym dali ~~takie~~ zaświadczenia, że byli w Krasnoj Armii. A było tam napisane, żeby mu wszędzie ułatwiać przejazd i udzielać pomocy.

Tym spsosobem dotarł spod Katynia tutaj i od jakiegoś gospodarza dowiedział się, że ja tu jestem .Po naszym spotkaniu on poszedł do Szczuczyna do matki, powiedzieć, że ja tu siedzę i czekam na jakieś rozwiązanie.Potem wrócił do mnie z znajomymyn Chylińskim i ten powiedział, że już mogę pomalutku przychodzić i oni mnie uratują.Razem wróciliśmy do Szczuczyna. Dowiedziałem się, że wtedy jak mnie złapali, moja żona pojechała do mojego ucznia - Maleńczyka zostawiła u niego w stodole wóz z całym sprzętem, a sama poszła do Szczuczyna do znajomych.Zaraz potem przyszli do tego mojego ucznia sowieci, rozbabrali wszystko - zanieśli maszyny, radio i chcieli się doweidzieć czyje to jest. Ludzie powiedzieli tylko, że była jakaś kobieta, zostawiła to i poszła nie waidomo dokąd. Obstawili ten dom i trzymali obstawę chyba ze dwa tygodnie.

Po powrocie do Szczuczyna coś chciałem robić. Zgłosiłem się do nadleśnictwa. Dostałem pismo, że jestem pracownikiem nadleśnictwa i mogę wychodzić w teren, żeby kupować dla nich płótno. Poszedłem więc do wsi Lack, tam był mój uczeń - Grygielewicz Wacek. Jego poszukiwali, jakby go dopadli, to by go od razu rozwalili, ale on się cały czasu ukrywał - u krewnych, u znajomych. Mi jednak udało się do niego dotrzeć, skontaktowali mnie z nim jego cioteczni bracia . Pojechałem kawałek dalej na wieś Lecium i on przyszedł do mnie. Ustaliliśmy, że trzeba wydać jeszcze z jeden numer naszego pisma.Nie wiem skąd się wzięły tam nasze maszyny, Wacek też nie wiedział jak to się stało, że one dotarły do tej wsi. W każdym razie ktoś je tam dostarczył i my mogliśmy jeszcze wydać jeszcze ostatni numer " Sprawy Polskie". Pamiętam, że taka młoda dziewczyna całą noc siedziała w chlewie i pracowała na powielaczach.A co było w tym numerze. Upominaliśmy ludzi, żeby chowali dobytek, nie oddawali żadnego kontyngentu , bo to się przecież przyda, przyjdzie kiedyś wojsko Polskie, będzie chciało jeść i będziemy przecież musieli im dać

coś do jedzenia. Pisaliśmy, żeby wyprowadzali konie, bydło do lasu , a sami żeby chowali się do lasu i nie szli do Armii Berlinga - sosieckiej. Taki był mniej więcej sens tego numeru, że to jeszcze nie koniec wojny, że wszystkie te dobra będą jeszcze potrzebne, bo przyjdzie nasze wojsko.

Po całonocnej pracy szedłem do braci ciotecznych Grygielewicza. Mgła była taka okropna, był to chyba listopad. Raptem wyskakuje przede mną dwóch "bojcow" i pytają: kuda ty idiosz? kto ty? Pokazałem im to moje pismo, że ja niby po płótno chodziłem. To mnie uratowało. Okazało się, że wtedy już próbowali złapać Wacka, że były wtedy robione obławy. Ale Wacek został cudownie ocalony. Wpadł do domu do tych swoich kuzynów i tak próbowali w różnych miejscach to w piwnicy, to przy ziemniakach ukryć go, ale jakoś mu to wszystko nie pasowało. Jak to bywa na wsi, mieli też komórkę, w tej komórce była kądziel, bo tam przędli. Ciemno tam było , on tam wpadł i szybko się za kądziel schował. Zaraz oni wpadli do tego domu, zajrzeli do komórki, łuczywem palili, patrzyli i w końcu go nie znaleźli i poszli.Zawsze potem mówiliśmy, że cudem ocalał, bo jak by go znaleźli, to by go na miejscu rozwalili. Wacek więc ocalał, a mnie i 9 innych chłopaków / ich nazwisk nie pamiętam/ 1944 r. ok sierpień-wrzesień - Mińsk zabrali. Zawieźli nas do Szczuczyna. W Szczuczynie był taki sługus, który nas pilnował.Nas wszystkich- tych, którzy byli w partyzantce nazywali " biali bandyci". Więc ten sługus to nas pilnował jakbyśmy faktycznie byli bandytami. On tak stał ciągle przy nas, pistolet trzymał w garści, niby gdzie indziej patrzył, ale ja wiedziałem, że bardzo pilnie czuwa nad nami. Ja tuzj nie miałem odwagi uciekać. Nie umiałem podjąć decyzji ucieczki. Zabrakło mi odwagb, przeraziłem się, że on mnie zastrzeli. Właśnie on "utorował " mi drogę do NKWD. On mówił, że ja jestem największy badnyta,że jestem naudzycielem, więc po x rżadne płótno na pewno nie chodziłem , że na pewno do Grygielewicza jeździłem.Jak ten sługus to wszystko w NKWD opowiedział, to jak mnie przyaknęli

wiedział, to jak mnie przymknęli, to nie było mowy żeby się wydostać. Zamknęli mnie wtedy w takim podziemiu. Było tam moc chłopaków. Było to nadal w Szczuczynie. Rozpoczęło się "badanie". Najwięcej ich drażniło, i najwięcej mnie bili za to jak powiedziałem, że Szczuczyn to przecież jest Polska. Za to , to mnie dechą bili. Pytali czy znam Grygielewiczówny. To były wtedy bardzo młode dziewczyny, one miały po 16, 17 lat, to były moje uczennice. Wypytywali się, czy one należały do AK. A ja tylko odpowiadałem, że nie wiem, bo skąd mogę to wiedzieć, przecież wy lepiej takie rzeczy wiecie, macie dokładniejsze informacje, lepsze ~~inna~~ możliwości sprawdzenia. Do tego, że ja należałem do AK to się przyznawałem, ale mówiłem, że wydawało mi się, że przecież walczę przeciwko Niemcom, to dlaczego oni nazywają mnie białym bandytą, gdy bym nic nie rpbił, to wtedy moglibyście mieć do mnie pretensję. Pytali się też o takiego kolegę Hałka, przyznawałem, że znam, ale ~~jak dla nich to~~ nie wiedziałem, czy należał do AK. Pytali się też o Nawarę taki był historyk, ale powiedziałem, że nie wiem gdzie on może teraz być. Pytali też o "Burzę," to był taki zaufany człowiek NKU, on był w podziemiu, on przygotowywał młodzież do oddziałów partyzanckich. Ale też im wmawiałem, że tylko słyszałem o takim, ale go nie znałem, nie wiem gdzie może być. Zawsze ich zbywałem tym, że oni mają większe i lepsze możliwości sprawdzenia, dowiedzenia się gdzie kto jest i co robi. Tak jakoś udawało mi się wykłamywać. A przychodzili tacy i mnie namawiali . Przyszedł taki jeden, po polsku mówił, tłumaczył, że pomoże mi wyjść na ludzi. Przekonywał mnie, że powinienem z nimi współpracować. Mówił, że pojadę do Lublina, będę jakimś ministrem, bo przecież mogę, bo jestem światły człowiek. A ja im tylko tłumaczyłem, że chyba im się pomyliło, że ja nie jestem taki wielki człowiek, że ja nie mam ~~pretensji~~ przemyśleń na ministra, nie chcę być ministrem, a do współpracy ~~z wami~~

z wami przystąpić nie mogę, bo nie mam do was zaufania , a i wy nie możecie przecież mieć zaufania do mnie.Mogę wam przecież gdzieś prysnąć, wy mnie możecie gdzieś wywieźć nie wiadomo dokąd, np. nie do Lublina, tylko na Syberię, więc nic mogę , nic piszę się na współpracę z wami. Zagrozili mi wtedy, że pojadę na białe niedźwiedzie. Na drugi dzień rano podjechał łazik i trzech ludzi z karabinami. Wyciągnęli mnie , nawet nie zdążyłem wziąć swojego partyzanckiego kożuszka. Załadowali mnie do samochodu, jeden z jednej strony z karabinem, drugi z drugiej strony. Zastanawiałem się gdzie oni mnie wiozą, a jechaliśmy w kierunku stacji kolejowej-Różanki. Dziwiło mnie tylko, że zabrali mnie jednego, bo normalnie jak zabierali to całymi grupami, po kilkunastu ludzi. A mnie tak samego. Przed Różanką skręcili na drogę, która prowadziła nad Niemen., ~~do MKXXXX~~ Niemna. Myśmy tam nieraz jeździli. Pomyślałem, że mnie pewnie utopią. Ale potem z tej drogi prowadzącej do Niemna skręcili w bok.Jechaliśmy jakiś czas przez lasek, to znowu myślałem, że w tym lasku się ze mną policzą, że mnie tutaj ukatrupią, ale tutaj też nic się nie wydarzyło. W końcu pojechali do Lidy. Nie wiem po co mnie tak kołowali, może myśleli, że jestem dla partyzantów na tyle cenny, że ci będą mnie próbowali odbić i dlatego z taką obstawą mnie wozili. Zawieźli mnie więc do Lidy, do tamtejszego MKGB. Był to rok 1944. około września Związali mi ręce i nogi.Przeleżałem tak całą noc, pilnowało mnie dwóch sołdatów ~~mnie~~ z karabinami. Jak przychodził wieczór to rozwiązywali mi nogi, bo musiałem jeść, ale ręce miałem cały czas związane. Wrzucali mnie do maleńkiej kibitki i wozili, gdzie mnie wozili, tego nie wiem. Trwało to przez chyba 5 wieczorów. Wreszcie zawieźli mnie do pięknego salonu, dywany tam były, wszystko ładnie ~~zrobione~~. Znowu było śledztwo, pytanie kogo znam, gdzie byłem. Bili mnie, ale jakoś im się nie udawało nic ze mnie wydusić. W MKGB to nie bili , to był Narodowy Komisariat Spraw ~~Wewnętrznych~~

Wewnętrznychtaj tak jak u nas UB. U nich była policja i NKGB . Policja była trochę łagodniejsza , a NKGB to było najgorsze draństwo. Za ostatnim razem zawieźli mnie do jakiejś potężnej sali, przyjechał z Mińska jakiś pułkownik. Wiem, że to był jakiś pułkownik, bo jak leżałem w sali obok, to słyszałem, jak mówili, żeby on przyjechał do nich, bo mają takiego wielkiego przestępcę i trzeba by z nim skończyć sprawy. Przyszedł ten pułkownik, lejtnanci i tak mówili do mnie - po baczku - po ojcowsku nazywali - Gustaw Piotrowicz ; że oni chcą porozmawiać po przyjacielsku. Nawet papierosem częstowali i chcieli, żebym im wszystko opowiedział, bez ich pytań. Ale chcieli wiedzieć wszystko dokładnie, co kiedy robiłem, kogo znałem, z kim się kontaktowałem, wszystko po kolei., jednym słowem - chodź z nami. Nie doszliśmy do porozumienia, jeden z nich chciał mnie bić, kazał mi się rozebrać i położyć na ziemię, ale pułkownik nie pozwolił mnie bić. Ze współpracy nic nie wyszło. Oni się rozeszli, mnie wsadzili z powrotem do kibitki. Nad ranem przywieźli mnie do NKGB, gdzie tak zawsze leżałem taki związany. Była to moja ostatnia noc w tym biurze. Potem wsadzili mnie do normalnego miejskiego więzienia w Lidzie. Tam było dużo naszych chłopaków, ucieszyli się, że jestem z powrotem z nimi. Pamiętam, że był tam między nimi syn doktora - Stańczak, którego potem wybronili - jego i syna aptekarza, wypuścili ich z więzienia w Lidzie. Nas - chłopaków z 7 batalionu, połączyli z chłopakami z tej wsi, w której byłem, aresztowany wsadzili nas razem w samochód i zawieźli do Mińska do więzienia - do tzw. amerykanki. W grudniu 1944 To było najstraszniejsza rzecz jaka może być. Siedziałem tam 6 miesięcy. A było tam okropnie. Z góry lała się woda, po kostki stało się w wodzie, nie było żadnej ławki, żeby się położyć, tylko tak kucaliśmy przy ścianie i kimaliśmy. Przesiedziałem tak 6 miesięcy, na betonie, w wodzie po kostki. Aż dziwne, że człowiek może tyle wytrzymać. Na początku

było nas w tej sali, w której ja byłem ~~chyba~~, chyba 5 czy 6.Potem nas rozdzielano, ale chyba wszyscy siedzieli tam z 5-6 miesięcy. Nie miałem już nic, nawet moja koszula tego nie wytrzymała , taka była już podarta, wymęczona, że chłopcy jakoś inną mi zrobili, nie pamiętam nawet jak to zrobili.Siedziałem więc w tej amerykance, nie mając nadal wyroku. Miałem tutaj ciągłe badania. W Mińsku spotkał mnie taki prawdziwy Rosjanin, który nie rozumiał jak ja się tu dostałem, dziwił się, że mnie bili, oburzał się. Potem stwierdził, że on niszczy wszystko co było do tej pory pisemnie i przeprowadzi nowe badanie. Ten Rosjanin mnie nie bił, traktował po ludzku. On tłumaczył, że jestem Polakiem, że oni niem mają prawa mnie sądzić, tylko mogą mnie internować - wydalić ze swego terytorium, ale nie więzić..

Po 6 miesiącach w amerykance, myślę, że dzięki pomocy tego Rosjanina, przenieśli mnie do więzienia miejskiego w Mińsku. Ale jak się przechodziło z jednego więzienia do drugiego, to trzeba było przejść kwarantannę. W jednej sali było bardzo dużo ludzi, nazbierali młodych chłopaków, takich po 14 - 15 lat, właściwie wszyscy to byli Rosjanie. Podszedł tam do mnie jeden taki młody chłopak i jak się dowiedział, że jestem Polak, to mówił, że nie będzie mi źle, bo Ameryka będzie o nas się starać.

Z "kwarantirowki " dali mnie na salę. Sala była olbrzymia . a w niej chyba ze 150 os Ludzie byli ułożeni w kołach.Najpierw było takie małe kółeczko, potem większe i pod ścianami największe. Najlepiej było w tym największym - pod ścianą. Ludzie byli ułożeni w koła, bo podobno wtedy więcej się pomieści w sali. Wszyscy leżeli na cementowej posadzce. Byli tam bardzo różni ludzie, byli żołnierze sowieccy, którzy byli na zachodzie, na robotach / bo tam było tak, że jak był na zachodzie na robocie, to nie mógł być ~~potem na~~ w cywilu na wolności, ale wogóle różni ludzie. Pamiętam, że śpiewali takie piękne patriotyczne sowieckie piosenki, wiersze mówili, np."czekaj, a ja wrócę".

W miejskim więzieniu było już dużo lepiej. Wychodziliśmy na "prohułki " - spacery. Poza tym nic miałem tutaj żadnych przesłuchań, miałem spokój. Był to dla mnie odpoczynek po pobycie w Mińsku. Po jakimś czasie doczekałem się, że mnie przewieźli do więzienia do Borysowa. Tam powiedzieli, że będzie wyrok około maja 1945 i tam na ten wyrok czekałem. Całe to śledztwo trwało dwa lata, w tym czasie przekoczowałem w więzieniach. Doczekałem się, przyszli i kazali się zbierać. Było to zimową porą. Zabrali grudzień 45 - luty 1946 nas wtedy czterech takich, jeden potężny człowiek - był to chyba kierowca i trzech innych. Pamiętam, że była taka straszna wichura wtedy, my nie mieliśmy siły już iść. Jden z tych ludzi, b prosił naszego wartownika, żeby go zabił, bo już nie ma siły. To ten kazał mu uciekać, to wtedy będzie mógł go zabić - za próbę ucieczki. Szliśmy tak do stacji, do tzw. "stołypieńców". Stołopieńce to były normalne wagony, tylko, że zakratowane i są trzy poziomy, wszystkie były tak zapchane, że nie można było się ruszyć. Tu mi powiedzieli, że w MOskwie wydano na mnie wyrok /zaocznie/ pięć lat więzienia. Przewieźli mnie wtedy do Orszy, bo tam przyjeżdżali z głębi Rosji "kupcy" i wybierali ludzi do roboty: do lasu, do kopalń. Wywozili daleko, nawet na granicę chińską. Cały ten transport pojechał właśnie do Orszy. Jechaliśmy noc i pół dnia. Tam wrzucili mnie do olbrzymiej sali - tam to dosłownie upychali ludzi. Cały czas był taki tłok, najpierw w pociągu a potem w sali. ~~Jechaliśmy noc i pół dnia~~. Wysadzili nas wieczorem w Orszy do więzienia. Siedziałem tam nawet dosyć długo. Pamiętam pewnego dnia wszedł jakiś człowiek w futrze, w czapie karakułowej, przy nim od razu znaleźli się młodziaki- naganiacze, zaraz tam zrobili dla niego miejsce po środku. To był chyba jakiś dygnitarz, nie wiem skąd on wszystko miał, czy może okradał jakoś ludzi. W każdym razie u nas "opiekował się " ludźmi. Jak ktoś dostał posyłkę, b zaraz

musiał iść do niego, błąknąć przed nim i pokazać co się dostało. Ludzie dostawali tam przesyłki, chyba był kontakt z rodzinami, chyba rodziny wiedziały co się dzieje z nimi. Do mnie nic przychodziły, bo nie miałem nikogo, bo żona już wtedy wyjechała do Wrocławia. Temu naszemu " dostojnikowi" zaczęło się nudzić i zaczął szukać partnera do gry w szachy. To się zgłosiłem, ale potem to nie wiedziałem czy mam grać, bo on się chwalił, że grał w takiej wojewódzkiej drużynie. Pamiętam, że na podłodze jakoś wyrysowaliśmy "szachownicę" , chyba z chleba wyrobiłem wtedy te wszystkie figurki i graliśmy.

W końcu zaczęli wybierać mas „kupcy". A ja wtedy byłem jakoś nie w formie, do piersi byłem opuchnięty, jak „kupcy" przyszli nas oglądać to powiedziałem, że jestem chory, pokazałem jaki jestem opuchnięty i mnie nie wzięli. Wrzucili mnie wtedy do jakiejś innej celi. Siadłem tak sobie na "paraszy" - to jest taka beczka na odchody ludzkie, na każdej sali stała taka "parasza", siedzę sobie, patrzę na salę, na tych leżących pokotem ludzi i tak sobie myślę jak to nigdy nie wiadomo co z człowiekiem będzie. Naraz znowu otwierają się drzwi i zabierają mnie z powrotem. Co się okazało : pięciu wybranych już łobuziaków gdzieś się ukryło i trzeba było na to miejsce wziąć innych, bo im brakowało do tej ustalonej liczby ludzi 260 czy 280. Dlatego złapali z pierwszej lepszej celi, a ja akurat byłem w najbliskiej. Za chwilę patrzę, a tu prowadzą czterech z tych, co im się schowali. Więc mieli na nasze miejsce czterech, brakowało tylko jednego. W końcu na tym skorzystałem, bo na podróż dawali dodatkową pajdkę chleba, ja już zdążyłem ją wziąć. Znowu trafiłem do celi, ale oczywiście znowu do innej. Co prawda wogóle w tych więzieniach było okropnie, bo do jedzenia dostawaliśmy zgniłe, zmrożone obierzyny , liście kapusty i wodę , też trochę chleba. Okropne to było, ale cieszyłem się,

że zostaję, bo chodziły słuchy, że bardzo daleko wywożą ten transport. W jakoś wogóle udawało się jakoś nie najgorzej żyć w tych więzieniach, bo np. podałem się za fryzjera, to wtedy nie chodziłem do ciężkiej roboty, tylko strzygłem , czasem ktoś dał mi dodatkowo za golenie papierosa, jeden Gruzin dawał mi pajkę chleba, było mi z tym dobrze.Potem jak się dowiedzieli, że jestem przestępca polityczny to mnie wywalili z tej roboty. Potem trochę za lekarza robiłem, bo umiałem bańki postawić, ale mi się nie udało. Ale próbowałem, bo umieralność była bardzo duża , trzeba było jakoś kombinować żeby przeżyć.

Po wywózkach do pracy, jak nikt mnie nie wziął do roboty, to koło Borysewa na Białorusi w grudniu 1946 roku mnie wywieźli do łagru, do Nowosad.Tutaj trzeba było na nowo układać sobie życie. Tutaj wychodziliśmy do pracy np. ładowaliśmy drzewo na wagony, kopaliśmy ziemię,ale najgorsza to była praca w cegielni. Kopanie nie było takie okropne , poza tym po drodze jak się szło to można było jakiegoś kłosa zerwać, pokrzywę , czy kawałek kapusty, czasem buraka znaleźć. Tyle, że narzędzia mieliśmy słabe do kopania. Była taka gruba warstwa mchu, że nie można było jej przebić tą łopatą.To tak się tylko odgarniało ten mech, trochę pokopało posypało ziemi po mchu - uważał każdy, że już zrobił co trzeba. Każdy miał jakiś odcinek wyznaczony, jak tego nie zrobił, to nie dostał swojej pajki chleba. Myśmy chyba 10 razy chodzili na to samo miejsce, aż żeśmy to przekopali.Potem chodziliśmy karcze kopać. Jakby ktoś na nas popatrzył to by mógł pomyśleć, że my bardzo chętni do pracy jesteśmy, bo jak nas przywozili na miejsce to każdy podbiegał do takiej, która wydawała się być łatwa do wykopania. Trzeba było takich 5 czy 6 wykopać. Okazało się, że najłatwiej było wykopywać karcze dębowe, bo nie mają tak głęboko korzeni tylko rozłożyście.

Wogóle każdy dzień był bardzo podobny do drugiego. Wstawaliśmy bardzo rano

bardzo rano, budzili nas o piątej- szóstej.,dostawaliśmy po pajce chleba / dla mojej drużyny ja nosiłem /.Kiedyś k chcieli mnie Rosjanie sprawdzić sprawdzić, czy ja nie "podbieram" dokładek / jak była za mała pajka, to trochę dokładali / ,obstąpili mnie i zrobili mi rewizję, czy nie mam tych "prikołek"-dokładek ~~nie mam~~.Nic nie znaleźli, to powiedzieli, że w porządku jestem. Po tym śniadaniu szliśmy do pracy. Wracaliśmy na obiad, na który dostawaliśmy kipiatok, czy zupę. Niektórzy ludzie dostawali jakieś paczki, ale nie dzielili się, jeszcze sobie podkradali. Ja zawsze starałem się mieć jakąś rezerwową pajkę, na wypadek gdybym jechał na jakiś dalszy etap, tę swoją rezerwę trzymałem pod głową i też mi wykradli, nie wiem nawet kiedy ji i jak. Był taki jeden człowiek z Grodna i też mu ktoś wykradł suchary. Jak zaczął je jeść, to znalazł w jednym pięciorublówkę i głupi poszedł do NKWD i pochwalił się, że podkradł suchary a w nich znalazł te pieniądze - wszystko mu zabrali i tyle miał korzyści z kradzieży i przypadkowego znaleziska, a okazało się ,że ten człowiek z Grodna w każdym sucharze miał jedną pięciorublówkę, widać wierzył, że kiedyś mu się to jeszcze przyda, że go to może kiedyś uratować. Wszystkich nas wtedy tak przeszukiwali, sprawdzali, każdy węzełek u każdego, do naga rozbierali - tak się rozgniewali. Te prawierki były okropne. W łagrze było przecież ~~było~~ pareset ludzi , może nawet do tysiąca. Oni wtedy sprawdzali wszystkich i wszystko. Najgorzej było zimową porą. Ciągle nas liczyli. Jak ktoś się zapóźno, za wolno rozbierał, nie zdążył to im się nie zgadzało, to jeszcze raz nas wyganiali, jeszcze raz liczyli i dopiero jak im się zgodziło, to mogliśmy iść do namiotów. Często godzinami staliśmy na mrozie, na śniegu, zdarzało się nawet do rana - jak im się nie zgadzała ilość ludzi. Czasami nie zdążyliśmy się przez to położyć spać. Musiało im się zgadzać.

Pamiętam, że jak byłem sanitariuszem to miałem spokój z prowierkami, bo w szpitalu szybko jakoś liczyli, sprawdzali czy jest sanitariusz i nie ciągali nas na plac. Ale jak ktoś był cały czas na barakach to miał dużo ciężej.

W obozie tym byli ludzie bardzo wielu narodowości : Gruzini, Białorusini, Jugosłowianie, Włosi, Rosjanie. On był na robotach u Niemców, nie chciał wracać, ale żona tak namawiała, żeby do kraju wrócić, nie mógł sobie darować, że się jej posłuchał/, ~~Polaków~~. Polacy bardzo mocno trzymali się razem np. na Boże Narodzenie to każdy trzymał tę swoją skórkę od chleba i dzieliliśmy się jak opłatkiem. Ja wtedy zawsze mówiłem, że Bóg da nam nową drogę, będziemy jeszcze w domach, wśród bliskich, chociaż trudno było tak mówić, bo przecież dużo nas umierało, wiedziałem, że wielu nie wróci - nawet ja im groby kopałem, jako sanitariusz zajmowałem się trupami. Ludzie umierali z wycieńczenia, to szkielety, nie ludzie chodzili po łagrze. Nawet już w Mińsku codziennie zabierali po 4-5 trupów, wywozili gdzieś. Ludzie umierali, bo byli wygłodzeni, wycieńczeni, przecież to jedzenie było okropne. Pamiętam, że kiedyś ksiądz z Różanki przysłał mi trochę mąki /nie wiem skąd wiedział gdzie ja jestem/, potem inny ksiądz też mi trochę przysłał, to próbowałem coś z tego pichcić, bo miałem straszną awitaminozę - całe ciało miałem w takie kropeczki jakby mnie ktoś igłami kłuł pokuł. Była tam taka tuszonka od świń, co ją dawali Amerykanie, nazbierałem trochę pokrzyw, dodałem do tego tej mąki, którą mi przysłał ksiądz i zagotowałem to razem i zjadłem. Następnego dnia nie miałem ciała w te kropeczki. Dokuczała też kurza ślepota. Nie jest to bolesne, ale dokuczliwe, uciążliwe . Ja byłem strasznie wychudzony. Ważyłem wtedy 39 kilo, a miałem 180cm wzrostu. Wszyscy byli schorowani. Były niby takie baraki - szpitaliki, byli też lekarze, ale mnie specjalnie nie leczyli, raczej brali do szpitala tzw,"dochodiaszczich "- takich

którzy nie mogli już chodzić do pracy i raczej byli bliscy śmierci.

Na dodatek dokuczało nam robactwo, ale nie wszy. Wnie wszy się nie imały. Ja miałem taką koszulę, w której chodziłem 5 lat, ona była taka przepocona, brudna, że nawet wszy się jej nie imały. Najgorsze były tam pluskwy. Kiedyś aż wszystko z baraków wywalili, żeby te pluskwy zlikwidować. Jak wróciliśmy z pracy do baraków, to dookoła było czerwono od pluskiew. One były okropne. Jak chciał się człowiek przed nimi uchronić to musiał w nocy przykrywać też głowę, ale znowu my byliśmy za słabi, żby sobie jeszcze utrudniać oddychanie. A jak miało się odsłoniętą twarz, to one spadały na twarz. To było okropne uczucie, jakby najgorętszymi żelazami ktoś dotykał, jak się próbowało to zabić, to całe ręcą miało się we krwi. To było coś naprawdę okropnego.

Jakeśmy chodzili do prady to człowiek często się przeziębiał, bo był osłabiony, to znowu musiał cuęściej w nocy do ubikacji wstawać. Kiedyś policzyłem, że jak się przeziębiłem, to musiałem 40 razy w nocy wstać siusiu. Ja wtedy płakałem. Niemal nie zdążyłem się położyć, a już musiałem właściwie znowu wstawać. Całą noc nie spałem. Warunki były okropne. Te baraki też były słabe. Przecież jak przyjechaliśmy to musieliśmy sami sobie je budować, część ktoś chyba wcześniej wybudował, ale dużo my sami budowaliśmy im i dopiero się do nich wprowadzaliśmy, bo w Nowosadach to były już baraki, ale obóz był pusty, dopiero nami go zasiedlili. My nie bardzo wiedzieliśmy kiedy nas zwolnią, albo czy może zabiorą w inne miejsce. Czasami przychodzili i kazali się zbierać komuś z "wieszczami", ale co się potem z takim człowiekiem działo to my nie wiedzieliśmy. Mieliśmy wśród nas wtykę, takiego strasznego łobuza. Było to w więzieniu, w Mińsku przysłali do nas takiego Rosjanina, który przesiedział 15 lat w więzieniu we Władywostoku, stamtąd przywieźli go do nas.

Więc wiadomo,że po tylu latach w więzieniu wyglądał jak taka kruszynka, był mały i wychudzony. A ten, który był Ytyczką,to był ogromny chłop, taki potężny.Wyglądał jakby go dokarmiali. Ten mały,chudy człowieczek pewnego razu skoczył do tego wielkiego chłopa, załapał go za szyję, zaatakował.A przecież to wielkie chłopisko to by go jednym ciosem pięścią powaliłby.Ale my wszyscy zaraz się rzuciliśmy na niego.Zaczęliśmy go bić.Trwało to krótką chwilę,bo zaraz zobaczyli przez judasza co się dzieje i zabrali tego chudego i kilku innych.Ytyczka pokazywał kogo trzeba zgarnąć. Na szczęście jakoś mnie nie pokazał.A tego co z nimi zrobili tego to się nie dowiedzieliśmy.

Polacy trochę się organizowli w tych łagrach, bo było nas nawet sporo.Jak byliśmy na sanitarce to chcieliśmy podkop zrobić,żeby uciec.Były u nas ubikacje- takie wykppane doły. To my wymyśliliśmy tak:że od ubikacji można się podkopać , przejść linię drutów i wyjść. Akurat jak jeden z chłopaków kopał, to przyszedł do ubikacji jakiś sowiet. Chłopak nie wiedział o tym, więc kopał w jamie i wyrzucał ziemię.Sowiet zobaczył,że coś się tam dzieje w tej jamie. Pobiegł zaraz do szefów obozu, przyszli, zaraz wyprowadzili naszego chłopaka i cała sprawa się wydała.Z tym,że ten chłopak mnie nie wydał.Wiem,że złapali chyba trzech hhłopaków, ale mnie się nie czepiali.Po miesiącu przyprowadzili tych trzech chłopaków do nas na specjalny sąd - nazywał się to naoczny sąd.Dali im po 25 lat więzienia i wywieźli z naszego obozu.Nie wiem co dalej z nimi było.Tam zresztą nigdy nie było wiadomo co i jak, w każdej chwili mogli każdegom wezwać i wywieźć czy rozatrzelić.

W Nowosadach byłem chyba półtora roku.W niedzielą nie pracowaliśmy, ja tak wstaję i mówię że śniły mi się przepiórki.A taki sowiet, który wyglądał nawet na Polaka, ale za Sowieta się podawał przyszedł i mówi:"pojedziesz damoj".I rzeczywiście za jakieś dwie godziny

przyszli i kazali mi zbierać się z rzeczami.Potem wsadzili nas do bani - wykąpaliśmy się, dali nam obiad. Załadowali nas na ciężarówki i wywieźli.Byłem rad,że mnie stamtąd wywożą.Miałem dosyć tego obozu, a najbardziej tej okropnej pracy w cegielni (" normalnej cegielni musi być nakopana glina,musi być wrzucona do maszyny, ta maszyna mechanicznie poruszana - przez prąd - wyrabia tę glinę, taką że jest ona elastyczna. Taką wyrobioną, elastyczną masę przenosi się do form, do nich nakłada się tą glinę, ucisha się, potem odkłada na bok, wykłada to i znowu idzie się nakładać następną porcję. Ja dostałem się do pracy przy"formowszczikach " czyli przy formach.Pomógł mi w tym pewien Polak, którego nazwiska nie pamiętam.On mi mówił tak:"ja tu jestem całym naczelnikiem,ja ci pomogę, ty idź na formowszczika, bo jak ty będziesz musiał wyjmować glinę z kotła to nie dasz rady".Tak mi poradził,bo ja faktycznie byłem słaby, wychudzony i pewnie nie dałbym rady przy kotle.On mógł mi pomóc,bo był tam ważny, bo znał się na pracy w cegielni, był specjalistą w tej dziedzinie, pomagał im nawet zakładać tę cegielnię, więc się z nim liczyli.On mnie zaprotegował na stanowisko "formowszczika" i pracowałem tam dosyć długo.Ale co było przejmujące w tej cegielni. Kierat,który powinna poruszać maszyna to zaprzęgli 30 młodych chłopaków: ślepych, bez rąk,kulawych i oni tak kręcili-jak manżerzu/manżerz to taki sprzęt jak młynek/. Wszystko kręciło się naokoło,ten młynek rozmiękcza masę i ona potem wychodzi do form.Ja na szczęście nie chodziłem w tym kręgu. Na początku narzucałem glinę do tej maszyny, potem to jakieś takie musiałem glinę przywieźć, potem zostałem formowszczikiem.Zresztą do kieratu brali takich, którzy nie mogli nic samodzielnie robić,np.niewidomy to do niczego się nie nadawał,a w kieracie mógł chodzić.Na szczęście żadnego poganiania batem nie było.

Miałem tylko jeden przykry taki moment. Moi koledzy, którzy robili formy, robili ich po 800 dziennie, a ja tylko 700, czasem 650, bo tyle dawałem rady. Zainteresował się mną tamtejszy "nadzieriatiel" tego wszystkiego. Przyszedł do mnie i tak przekonywał, żeby więcej robić, że to niby w moim mieście - w Grodnie z tej cegły szkołę budują. Tłumaczył, żebym próbował robić tyle co inni. Zacząłem się przyglądać jak oni to robią, że dają radę zrobić tego więcej niż ja. Oni jak ustawiali wieczorem, jak odchodziliśmy już z pracy, ~~formy~~, to mazał wodą i rano jak przychodził to sobie zaliczał je na nowy dzień. A ja nie robiłem tego, bo jestem uczciwy człowiek, poco miałem tak oszukiwać. Ale w końcu zacząłem robić tak jak oni i też udawało mi się wtedy zrobić 800 sztuk. Wtedy ten "nadzieriatiel" tak się cieszył, chwalił się, jak to on mnie wychował, że teraz robię tyle co inni.

Tak wyglądało to życie. Żadnych praw tam nie mieliśmy. Tyle, że w niedziele nie szło się do pracy. Jak człowiek był chory to też zostawał w obozie, nie pracował. O tym kto jest chory decydował lekarz. Mieli tam część swoich lekarzy, a część to byli ludzie spośród nas, ale ci zresztą normalnie pracowali, im raczej nie wierzyli. Raczej ich lekarze decydowali czy ktoś nadaje się jeszcze do pracy, czy jest bardzo chory.

Właściwie my jako Polacy trzymaliśmy się razem. Nawet nas tam Rosjanie podziwiali, że się jakoś razem zbieramy, że potrafimy jeszcze poczęstować jeden drugiego sucharem, że modlimy się razem, rozmawiamy ze sobą. Bardzo często nasi księża z nami siedzieli, a ich (to raczej się tak im nie zajmowali. Rosjanie nam trochę tego zazdrościli. Było nieprzyjemnie jak kiedyś któryś z kadry obozu powiedział, że Niemcy nas rozstrzelali, a oni nas doprowadzą do tego, że jak myszy wyzdychamy. To nas jakoś jeszcze bardziej łączyło, jednoczyło.

Po ponad półroczn m siedzeniu w Nowosadach przyszli pewnego dnia i kazali się zbierać,razem ze swoimi rzeczami.I tak jak mówiłem dali obiad, wykąpali,załadowali do samochodów i powiedzieli,że teraz będziemy jechać.Z tym,że nie powiedzieli dokąd,ani co z nami dalej będzie.Był to już rok 1948,bo tak zabrali mnie w 1944. W więzieniach do wyroku siedziałem 2 lata, potem jeszcze po wyroku byłem w więzieniu jeszcze pół roku, trafiłem do Orszy i dopiero stamtąd zostałem wywieziony do Nowosad.W chwili gdy mnie stamtąd odsyłali był koniec lata 1948 roku,już nadchodziła jesień.Ale ten powrót nie był taki przyjemny jak by mogło się to wydawać.Co prawda mówili nam,że wracamy do domu,ale my nie bardzo mogliśmy im w to uwierzyć.Tym bardziej,że wracaliśmy przez te wszystkie więzienia, w których wcześniej siedzieliśmy tzn.przez Mińsk,Borysww,Orszę. Czasem nawet trafialiśmy do cel, w których wcześniej siedzieliśmy. W MIńsku siedzieliśmy w drodze powrotnej dwa tygodnie. W Borysowie siedzieliśmy w tej samej celi, tam też byliśmy chyba pół miesiąca. Jak tak siedzieliśmy w tych więzieniach to na prawdę nie bardzo chciało nam się wierzyć, że wracamy do domu.Pamiętam,że do Brześcia nad Bugiem dotarliśmy pod ~~eksorte~~ eskortą,psy były .Ustawili nas czwórkami "bójcy" nas wiedli i podprowadzili pod "więzień".Nie wiedzieliśmy po co ani dlaczego, myśleliśmy, że znowu nas wpakują do więzienia, albo będzie jakaś rozprawa sądowa.Wzięli wtedy piewwszą czwórkę, ja byłem w drugiej bo też dosyć wysoki byłem, zabrali ich, otworzyli bramę, wprowadzili ich tam i ślad po nich zaginął.Nie wiemy co się z nimi stało.Tym bardziej byliśmy niepewni swego losu.

Jak nas pościli od tego więzienia, to już ci "bojcy" zniknęli, szliśmy sami czwórkami bez obstawy do stacji kolejowej. Dotarliśmy tak do Białej Podlaski. Co prawda tutaj też siedzieliśmy za drutami, ale nas zupełnie inaczej traktowali, inaczej nas karmili.Już tam czuliśmy,że wracamy do Polski, do domu.

Ja się w pe

Ja się w pewnym momencie trochę przestraszyłem, bo nieco wcześniej zmieniłem sobie datę urodzenia, żeby uchodzić za starszego. A tutaj w pewnym momencie powiedzieli, że trzeba sobie przypomnieć co kiedy było, dokładnie z datami, a jak coś nie będzie się zgadzać w papierach to będą odsyłać z powrotem do więzienia, albo do łagru. I tak sobie pomyślałem jak to zrobić, żeby to wszystko teraz odkręcić. Bałem się, że jak im się nie będą zgadzać moje dane to mnie odeślą, bo powiedzą, że to nie ten sam człowiek, pomyślą, że się pod kogoś podszywam. Poszedłem do nich i mówię im, że była taka sytuacja, że taka jest sprawa, że zrobiłem tak, żeby sobie pomóc. Sklęli mnie wtedy strasznie, ale przeprawili mi wszystko tak jak było na prawdę. Na szczęście udało mi się uniknąć wyjazdu na tzw. "białe niedźwiedzie".

Jak nas w Białej Podlaskiej wsadzili w pociąg, przekraczaliśmy granicę o świcie, to wszyscy - cały pociąg śpiewał "kiedy ranne wstają zorza..." Z tym, że muszę zaznaczyć, że nie jechali razem wszyscy wszyscy Polacy z łagru w Noowsadach. Ze mną zwolniono tylko kilku, inni tam jeszcze pozostali. Nie wiem co się z nimi potem działo. Tym bardziej ten moment, gdy wszyscy śpiewali, był wzruszający. Jak dojechaliśmy do Dworca Wschodniego to nas tak serdecznie witali, chlebem i solą. Był jakiś komitet Opiekuńczy. Przynieśli tam w koszach bułki i rozdawali je. Każdy się prawie rzucił na ten kosz i chciał zabrać cały ten kosz, albo chociaż jak najwięcej z niego zabrać dla siebie. Te panie nas uspakajały, że starczy dla wszystkich, a kto jeszcze będzie chciał to więcej dostanie. Bardzo nas miło przyjęto. z tym, że przyjmowało nas społeczeństwo, a nie władze. Nie mieliśmy żadnej informacji, każdy był zdany na siebie. Każdy z nas miał tylko taki dokument, że przyjechał. Potem odwieźli nas do PUR-u na Dworzec Zachodni. Stamtąd każdy swobodnie się poruszał, tam gdzie chciał.

Ja poszedłem do Związku Nauczycielstwa Polskiego, potem chciałem jakoś nawiązać kontakt z żoną i z synem, ale nic o nich nie wiedziałem. Szukałem rozmawiając z różnymi ludźmi, dopytywałem się. Nie bardzo chciałem wychodzić na miasto, bo ciągle się bałem, że znowu mnie złapią i gdzieś wywiozą. Byłem po prostu wystraszony. W końcu mój kolega - Chyliński znalazł mojego syna i sprowadził go do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Było kilka osób jakośmy się witali. Pamiętam, że płakali wszyscy,

Potem dowiedziałem się , że moja żona była w Bogatyni, ale dojechać tam jakoś nie bardzo mogłem. Była to strefa przygraniczna więc nie można było tam jeździć, a ja byłem z takimi dokumentami. Jeździłem jeszcze do Szczecina, bo jakiś znajomy mi mówił, że tam ktoś jest, kto mógłby mnie poinformować. Pieniędzy to miałem tyle co mi tam ktoś dał- tu 1000, tu 500, oprócz tego miałem ten dokument, na którym było napisane, że wolno mi jeździć bez biletu. A taki kontroler - łobuz ściągnął ze mnie karę - 2000 zł. Okropne to było, wiedział przecież, że wracam ze Związku Radzieckiego, wiedział, że wracam z więzienia a ten naczelny konduktor wymusił na mnie zapłacenie tej kary. Było to na trasie ze Szczecina do Olsztyna. Zapłaciłem tę karę, bo byłem w strachu. Wysupłałem mu te dwa tysiące i on to wziął. Było to dla mni bardzo przykre przeżycie, tym bardziej że to był starszy konduktor.

Potem spotkałem Kordowicza - z Lidy. Jak ja byłem prezesem Związku Nauczycielstwa Polskiego, to on był prezesem okręgu i stąd znaliśmy ~~znaliśmy~~ się ~~znali~~. Oni się mną trochę zaopiekowali. Pomogli mi przyjaciele, a władze nie interesowały się mną wogóle. Kordowicz prowadził wtedy Towarzystwo Burs i Stypendiów i on mi poradził, żeby pojechać do Szklarskiej Poręby. Mówili mi, że tam są domy tego towarzystwa, tam na razie nic nie ma, ty będziesz tam gospodarzem. Tam jest ~~na razie~~ tylko dozorca, koza - będziesz miał mleko, dosta-

-niesz miszkanie - trzy pokoje z kuchnią.Pojechałem tam. Ale nie mogłem przyzwyciężyć w sobie strachu. W nocy chodziłem po górach, a wdzień spałem.Dozorca zajmował się kozą, doił ją, dawał mi mleko. W piwnicy znalazłem wielkie połacie solonych ryb i z tego sobie gospodarowałem.Ale nigdzie nie chodziłem, nawet do gminy.

W końcu wyszedłem na ulicę. Spotkałem wtedy człowieka, którego ojciec był volksdeutch i on wydał naszych chłopaków jak chcieli zdobyć Szczuczyn. Wtedy właśnie wyginęła ta cała kompania.Kazyxxał xiąxMajran,xxxxstrzuxxxxxxxxxxxxxx. A wyglądało to w ten sposób. Jak chłopcy weszli do budynku niewykończonego internatu seminarium, to byli w mundurach: niemieckich, polskich milicyjnych i czekali. To była sobota, a Niemcy w sobotę, po fajrancie to chodzili do znajomych, albo wykąpać się, panuje takie rozprężenie, rozluźnienie. Nasi chłopcy chcieli wtedy wyjść z tego budynkui zająć rozbroić żandarmerię i zająć Szczuczyn. A ten sonderführer chodził po ogrodzie, patrzył czy to już czas kopać, w ogrodzie pracować.Oni zobaczyli tego sonderfurera, wyskoczyli we dwóch, wciągnęli do tego budynku, a przeoczyli takiego zgarbionego, kulawego człowieczka, więc ten zabrał się i poszedł.A chłopcy byli zadowoleni, bo myśleli, że jak będą iść po mieście z sonderfurerem to nikt z Niemców nie pomyśli, że są polskimi rozbójnikami. A ten kulawy poszedł, zawiadomił, wszystko się zmobilizowało, przyjechali i rozwalili cały ten dom, karabinami maszynowymi wszystkich wybili.Mój syn też tam był.Zostało, przetrwało wtedy chyba tylko 3 czy 4.W tym czasie, gdy mój syn wyszedł na miasto, zrobić rozeznanie co się dzieje w mieście, przyjechali i wybili wszystkch naszych chłopaków. Mój syn ocalał, właśnie dzięki temu, że wyszedł na zwiady. Ten człowiek, kóóry ich wydał nazywał się Mejran. I zrozumiałe, że jak ja go spotkałem (jego syna) w Szklarskiej Porębie, to się przestraszyłem.On do mnie podchodził, to ja uciekałem, nie chciałem z nim rozmawiać,

nie wiedziałem jaka ta dzisiejsza Polska jest. Bałem się, że mogą nas oddać w każdej chwili UB. Wolałem nikogo nie spotykać.

Potem chcieli mnie zrobić dyrektorem tego zakładu, bo tam było kilka tych domów. Powiedzieli, że założą internat, średnią szkołę. Mówili, że będę dyrektorem szkoły, kierownikiem interhatu, będę miał mieszkanie, opał, wyżywienie i wszystko co potrzeba. Nie chciałem tego, ja chciałem wtedy spokojnie żyć. Nie zgodziłem się na to. Potem mi proponowali, żebym poszedł na dyrektora gimnazjum do Zgorzelca. Tam też nie chciałem, bo to nad samą granicą, to też mi nie odpowiadało. Jak wróciłem to przewodniczący Towarzystwa Burs im Stypendiów - Kordomicz, zaproponował mi, żebym wziął posadę w Miedzyszynie, żebym pracował w bursie jako wychowawca. Mówił, że jest tam też taki jeden partyzant. Tam pracowałem w likwidacji TBS. ~~Tam trochę byliśmy~~. Potem do szkoły nie chciałem iść, nie mogło mi przez gardło przechodzić, żeby Stalina chwalić. Skończyłem kurs dla księgowych i poszedłem do Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Wodociągowych i Kanalizacyjnych. Bardzo mi się tam dobrze pracowało. Założyłem kasę zapomogową dla robotników, oni mnie tam bardzo szanowali. Z tymi robotnikami były przyjemne układy. Zresztą i dyrektorzy i inżynierowie bardzo mnie poważali. Ja się co prawda nie chwaliłem, co przeszedłem, ale przecież wiedzieli, że jestem przedwojennym naudzycielem.

Potem przychodził do mnie taki klega , który był podinspektorem na Woli i mówił, że do Inspektoratu na Pradze Południe przychodzi Borodziewicz, że może bym tam przeszedł. Tłumaczył mi, że na podinspektora szkolnego będę w szkole. A mnie jednak tęskno było do szkoły, brakowało mi kontaktu z młodzieżą. Więc się zgodziłem. Przyjął mnie więc do pracy Borodziewicz. Ten człowiek wiedział, że byłem w więzieniu. Jakoś nam się układało, ale były już czasy Stalinowskie. Borodziewicz był w Związku Nauczycielstwa Polskiego, który był bardzo komunistyczny.

Opowiadali mi potem, że w Zarządzie Głównym ~~Inspektoratu~~ Związku ZNP w ~~Warszawie~~, którym ~~prawdopodobnie~~ był Borodziewicz, stało popiersie Piłsudskiego i on podobno je młotkiem rozbił. Ja nie miałem serca do tego człowieka. Pracowałem z nim w inspektoracie, ale wiedziałem, że przy tym człowieku nie ma miejsca dla mnie. Było o tyle dobrze, że miałem kilkanaście swoich szkół do inspekcji to tym się zajmowałem. W tych szkołach, do których chodziłem na inspekcje, ludzie dobrze mnie znali i wiedzieli kto ja jestem, chociaż ja się tym nie chwaliłem. Między nami były bardzo przyjemne stosunki.

Po jakimś czasie przeszedłem na dyrektora szkoły nr 143 imienia Starzyńskiego. To mnie znowu jakoś nie bardzo odpowiadało. Pamiętam jak przyszedł do mnie historyk, ~~który ten pracował,~~ nazywał się Drozdowski. Był to wspaniały człowiek. Przyszedł do mnie, i powiedział, że zbliża się rocznica śmierci ~~tego~~ przedwojennego prezydenta, którego imię nosi ta szkoła, to można by jakoś uczcić tę rocznicę. Ustaliliśmy, żeby przysłać chociaż starsze klasy - 7 i 8 na grób, tzn. na to miejsce gdzie stoi ku jego pamięci krzyż. Poprosiłem więc nauczycielkę, żeby pojechała z uczniami na ten cmentarz. Nie wiem jak i dlaczego tak się stało, ale po jednym, czy po dwóch dniach dzwoni do mnie ~~jakiś~~ sekretarz partii - Kata i mówi, żeby zaniechać obchodów rocznicy śmierci, żeby nie jechać z uczniami na cmentarz. Ja tłumaczyłem, że nie mogę tak, bo jak bym wyglądał w oczach młodzieży. Ustaliłem więc, że nie pojedzie ta nauczycielka, tylko ja i że będzie to w miarę możliwości niezbyt wielka grupa. Pojechałem ze swoimi uczniami na Powązki na tę uroczystość. Trochę się obawiałem, ale w końcu nie miałem z tego powodu nieprzyjemności. Zresztą zawsze tego człowieka uważałem za takiego w miarę poszłopowego. To był wtedy już ktoś, bo był chyba wtedy w Komitecie Warszawskim jako trzeci sekretarz partii. Jakoś mi to nie zaszkodziło. Na uroczystości byłem i pamiętam utkwiło mi, że Drozdowski wtedy mówił, że pamięć ~~ginie~~. O prezydencie Stefanie Starzyńskim nie zginie.

Jak pracowałem w inspektoracie, to ktoś wystąpił, żebym dostał Krzyż Kawalerski, to ktpś tam się nie zgodził, bo siedziałem w więzieniu/ było to przecież w arkiecie osobowej/, więc żadnych odznaczeń zbierać nie może.Potem spotkałem takiego prawnika - pana Kołakowskiego, on mi załatwił nieco później, że to więzienie to mi nawet wliczyli do wysługi lat.

Do dzisiaj mam taki dziwny lęk: jak wchodzę do jakiegoś gabinetu, to zawsze mam wrażenie, że zaraz mogą mnie rąbnąć jakąś dechą w głowę, albo coś zrobić.

Jestem kombatantem, ale nie należę do ZBOWiDu, bo to nie dla mnie miejsce.Mam zaliczone te lata, gdy byłem w AK, to wszystko załatwiłem, jak nastała "Solidarność".Pytali się czy chcę należeć do ZBOWiDu, jak odpowiedziałem, że nie,to zapisali to , ale dali mi zaświadczenie, że jestem kombatantem.Nie mam naszych odznaczeń. Mam ich trochę, np pierwsze przyniósł mi z Londynu mój uczeń - jest to Medal Wojska Polskiego / po raz I, II i III /, dostałem to w1948r. Potem przynieśli mi Krzyż Armii Krajowej, było to w 1970 roku. Nieco później oficjalnie dostałem Honorową Odznakę Żołnierza AK, z Dowództwa AK Ziemi Nowogródzkiej.A potem oficjalnie z Ministerstwa Spraw Wojskowych w Londynie dostałem Krzyż Kampanii Wrześniowej, po prostu koperta z tym znalazła się w mojej skrzynce pocztowej, w 1985 roku.

Trochę mnie ciągnęli do partii.Nawet Kata mnie namawiał, żebym jako inspektor wstąpił do PZPR, ale jakniegdy nie chciałem należeć do żadnych partii.Kiedyś nawet zadzwonił do mnie Kata i powiedział, żebym ja,podinspektor Cempel,podinspektor Pjanowska,żebyśmy przyszli i bez żadnych problemów, formalności, będziecie przyjęci do partii. Powiedziałem mu, że przekażę tę wiadomość, ale sam nie przyjdę.Oni poszli i się zapisali, ale ja nie.

Życie rodzinne toczyło się smutno, bo nie długo po powrocie umarła moja żona. Ale potem było jakoś lepiej.Syn ukończył

Politechnikę. Później ożeniłem się po raz drugi. Moja druga żona bardzo bda o mnie. Miewam często zawroty głowy, to ona mnie samego nie wypuszcza, żeby mi się nic nie stało. Mam trochę dolegliwości. To są te rzeczy, które mi zostały po tych więzieniach i obozach. Puchną mi nogi, mam trudności z chodzdniem, mamz bóle krzyża i te uciążliwe zawroty głowy. Muszę teraz bardzo na siebie uważać. W więzieniu nie raz jak mnie bili ręką ustawioną na sztorc w głowę, to ja nie raz padłem, zemdlałem, straciłem nawet przytomność. Myślę, że to mi po tym zostało. Kiedyś jak rozwoziłem pismo "Sprawy Polskie", zobaczyłem Niemców i popędziłem konia, koń się przestraszył, wjechaliśmy na teren po wyrąbaniu lasu. Ja wtedy wyleciałem z tego wozu, uderzyłem głową w jakiś pieniek, ja wtedy wszystko pozbierałem i pojechałem dalej, ale jakiś ślad na drowiu mógł i z tego zostać. Potem w czasie jakiś badań powiedzieli mi, że mam zwyrodniały mięsień sercowy. Najprawdopodobniej to z przeciążenia, bo jak był człowiek przegłodzony, spracowany to serce było bardziej obciążone. Przecież w więzieniu to też wciąż człowiek przebywał w brudzie, w zaduchu. To wszystko musiało się kiedyś odbić.

Odbiło się to wszystko też na mojej psychice. Jestem bardziej nerwowy, nieznośny.

Teraz mam emeryturę nauczycielską. Starałem się o rentę wojenną ~~wojskową~~, ale nicd dostałem. Teraz dostaję jeszcze dodatkowo jakiś dodatek opiekuńczy, chyba 4.000 zł. Razem mam wszystkiego 65.000zł. A jak szedłem na emeryturę to miałem 1.200zł i nie chciałem już dalej pracować. Nękali mnie takimi nieprzyjemnymi telefonami czy np. dzieci milicjantów albo wojskowych chodzą do Kościoła. Nie było to przyjemne. Przecież nie można w takie sprawy wkraczać. NIgdy nie namawiałem, żeby dzieci chodziły do Kościoła i tak samo nie zabraniałem nikomu chodzić jeśli chciał. Chyba w 1965 roku zrezygnowałem z pracy.

strona 34, rząd 20

W swych wypowiedziach poruszyłem zaledwie kilka problemów trapiących wielu ciężko w więzieniach. Tą drogą chciałbym, w ciągu kilku lat, kiedy godzina, dzień miesiąc czy rok to historia tych ciężkich zmagań jednakowo ważnych i okrutnych. Najstaranniejsze opisy słowne, fotografie i najsubtelniejsze chwyty muzyki nie mogą odtworzyć rzeczywistych faktów. Tę tragedię może zrozumieć i odczuć tylko ten, kto w niej osobiście uczestniczył.

Cała społeczność szkoły bardzo serdecznie mnie żegnała.Chcieli, żebym dostał Krzyż Kawalerski, nawet wystąpili z takim wnioskiem, ale nikt się w tej sprawie nieodezwał.

Ja wierzę, w to co powiedziała poetka Kurecka :"wierzę w głos mego sumienia, że świat się zmienia..."Kto ten świat zmienia? Czas i ludzie.Nieraz mowię chłopakom: nie poszło namarne, to, że się zbieramy, że mówimy o Nowogródku, o Szczuczynie, zostawi to gdzieś na swój ślad.Wierzę, że wolność, niepodległość to się traci w bardzo krótkim czasie, a odzyskuje się taką prawdziwą niepodległość nieraz przez długie lata. Wierzę w to, że będziemy kiedyś wolnym, suwerennym krajem. Z tym, że musimy sami sobie Polskę odbudować.Nie mówię wcale, że nie wolno utrzymywać kontaktów np. ze Związkiem Radzieckim, ale musimy samodzielnie działać i myśleć..../skrót z refleksji na ten temat/.Niech młodzi Polacy ją budują,tym bardziej, że nieprawdą jest to co ludzie mówią, że teraz jest gorsza młodzież .Twierdzę, że młodzież jest szlachetna./skrót z rozważań o młodzieży/.

Wierzę także w potęgę wychowania, że przez wychowanie można osiągnąć wspaniałe wyniki.Tylko trzeba umieć trafić do człowieka.Do tego nawet nie trzeba specjalnych kwalifikacji .....opowiadanie o człowieku - nauczycielu, który potrafił sobie poradzić z tzw. trudną młodzieżą, choć z tą grupą nie mogli dać sobie rady pedagodzy po specjalnych studiach..

Bardzo mile wspominam pracę z młodzieżą.Nawet już jak pracowałem w Landwarowie miałem przewspaniałe stosunki z wychowankami. Oni nie dopuściliby do tego, żeby mi ktoś zrobił krzywdę./opowiadanie o przyjaznych pogadankach z uczniami/.

Borysewicz - uczeń respondenta, działał w AK

Budrewicz - uczeń respondenta, wywieziony ze Szczuczyna przez Rosjan w 194Cr.

Chyliński- nauczyciel, wywieziony przez Rosjan ze Szczuczyna w 1940 r.

Gajewski Witold-urą 27.06.1922 w Leganh pow. Kobryń. znali się z respondentem od jesieni 1941 r.,gdyż w tym czasie obaj mieszkali w Szczuczynie Nowogródzkim. W tym samym czasie /1944r./ przezbywali w więzieniu w Lidzie.Potem spotkali się we wrześniu 1948 r. na terenie ZSRR w Brześciu nad Bugiem. Tym samym transportem wracali do Polski. Ojciec Witolda Gajewskiego był administratorem majątku. Ostatnio Witold Gajewski wyjechał do swojej siostry do Kanady.

Grygielewicz Wacław -znali się z respondentem od dzieciństwa, był uczniem respondenta, zarówno w szkole powszechnej, jak i gimnazjum w Szczuczynie Nowogródzkim. Razem działali w AK w obwodzie "Łęka" w Szczu--czynie / od marca 1944 do lipca 1944/ w VII bat. 77 pułku AK pod dowództwem mjr.Jana Pownika ps."Ponury". Wraz z respondentem brał udział w wielu akcjach np. w rozbiciu pogranicznych stutzpunktów w Jewłaszach i Jachnowicach. W celu wzięcia udziału w walkach o Wino, wykonali 150 kmą marsz bojowy walcząc z cofającymi się ze wschodu żołnierzami niemieckimi i kolaborantami. Po zdobyciu Wilna wrócili do Szczuczyna.Spotkali się później w Warszawie po powrocie pana Rapackiego do Polski.

Kordowicz-pracował z respondentem w Lidzie w Związku Nauczycielstwa. Ponownie spotkali się po powrocie respondenta do Polski. Po wojnie pracował w Towarzystwie Burs i Stypendiów , pomagał panu Rapackiemu w zorganizowaniu życia w Polsce.

Krysiak- działał w AK.

Mejran- volksdeutch, który udaremnił akcję zdobycia przez AK Szczuczyna. Respondent spotkał go potem pracując w Szklarskiej Porębie oka 1950 r.

Podchorąży „Sowa"- ekonomista, był dowódcą kompanii, którą Niemcy wybili w Szczuczynie. Spotkali się potem w Mińsku jak wywozili podchorążego.Żyje. Ma ok. 67 lat. Ostatnio na spotkaniu Nowogródczan był podobno, ale nie spotkali się.

cioteczny brat Podchorążego "Zawiszy" był dowódcą batalionu po śmierci "Ponurego". Mieszka w Kanadzie. Jak przyjechał do Polski, to nie ze wszystkimi się spotkał, chociaż przez pewien czas respondent ukrywał go u siebie w domu.
Pseudonim "Ostoja".

Radomska - uczeń respondenta, wywieziony ze Szczuczyna przez Rosjan w 1940r.

Skorp - uczeń respondenta, ok.1940 r. przyszedł z odziałem partyzankim do Szczuczyna.Dalsze losy nie są znane respondentowi.

Stańczak- przez jakiś czas jednocześnie przebywali w więzieniu miejskim w Lidzie - 1944 r.

Szkoda- gospodarz,który ukrywał respondenta w 1944 r.
Mieszkał nie daleko Szczuczyna.

Tumalewicz- uczeń respondenta, został wywieziony z innymi Polakami przez Rosjan ze Szczuczyna w 1940 r. Dalsze losy nie są znane respondentowi.

! ! 4.Legitymacja nadania Odznaki Pamiątkowej - Krzyż kampanii Wrześniowej 1939r.

5.Legitymacja Honorowej Odznaki Żołnierza AK okręgów Wileńskiego "Wiano" Nowogródzkiego "Nów"

6.Legit.odznaczenia po raz 1,2 i 3 Medalem Wojska

7.Legit. Krzyża Armii Krajowej

Gustaw Rapacki zam. Warszawa ul. Paska 59 m 1.

Szczuczyn zamieszkanie, paracs do połowy sierpnia 1939

Palądz - obóz internowanych żołnierzy Polskich

Szczuczyn - okolice, działalność w AK

Szczuczyn - Lida - trasa transportu grupy Polaków przez "bojcow" - sierpień 1944

Szczuczyn - więzienie, przesłuchania 1944 r sierpień - marzec

Lida - NKGB - śledztwo marzec - listopad 1944

Mińsk - 6 miesięcy w tzwą"amerykance" grudzień 1944 - maj 1945 więzienie miejskie

Borysew- więzienie 1945 r. maj - 1945 grudzień

Orsza - więzienie 1946 styczeń do grudnia.

Nowosady k.Borysewa na Białorusi - podyt w łagrze 1946 r XII do 1948 r VII

Nowosady-Mińsk-Borysew- Orsza - Brześć nad Bugiem - trasa powrotu do Polski od 1 VII - 1948 r do września 1948

G. Rapacki

© ARCHIWUM WSCHODNIE